

Wywiad tygodnia - Krzysztof Zalewski

Momentami można mi uwierzyć

20 lutego w Klubie Wytwórnia odbył się koncert Krzysztofa Zalewskiego. Właśnie powstaje trzecia płyta rockowego artysty - a podczas koncertu można było posłuchać także najświeższych utworów.

Aleksandra Talaga-Nowacka: - Udało się zakończyć prace nad trzecią płytą?

Krzysztof Zalewski: - Traktuję ją raczej jako swoją drugą - pierwsza nie była wystarczająco autorska. Instrumentalną część mamy gotową, teraz borykam się z kilkoma ostatnimi tekstami. W ciągu najbliższych tygodni temat będzie zapięty (rozmowa odbyła się 1 lutego - przyp. red.). Za chwilę wypuszczamy jeden singiel, potem drugi. Zobaczymy, czy płyta ukaże się wiosną, czy na razie wyjdą tylko te dwa single, a płyta jesienią. Tak czy siak będzie gotowa za kilkanaście dni.

Czego możemy się spodziewać?

- „Opowiadać o muzyce to jak tańczyć o architekturze”. Nie jest to concept album, tylko zbiór piosenek - okaże się, czy będzie bardziej spójny niż w przypadku dwóch pierwszych płyt. Album różni od poprzedniego to, że powstał w krótszym czasie - nie w osiem, ale w dwa lata. Potrzebuję jeszcze bardziej otrząść się z życiem i show biznesem, żeby móc wpaść na jakiś genialny pomysł, któremu podporządkowałbym całą płytę. Z uwagi na nasz skład i na to, że dość głośno pokrzykuję, wciąż będzie to płyta alternatywno rockowa.

W sensie muzycznym jest pan właściwie samoukiem. Co pana inspiruje?

- Skończyłem tylko szkołę muzyczną pierwszego stopnia. Potem poszedłem do normalnego liceum. Zawsze najbardziej kręcili mnie David Bowie i Beatlesi. Jeśli „zżynam”, to głównie z nich. Lubię też Strawińskiego, więc czasem może „ukradnę” od niego jakiś temat.

A kiedy odkrył pan, że umie śpiewać?

- Odkrywam to dopiero teraz. Po kilkunastu latach prób zauważam, że gdy jestem rozśpiewany, to rzeczywiście coś potrafię, jakoś ten głos kontroluję. Natomiast pasję - że darcie się na całe gardło sprawia mi przyjemność - odkryłem na wyjeździe wakacyjnym w czasach liceum. Potem trzeba było skupić się na tym, jak kontrolować ten pierwotny krzyk, by trafiać w odpowiednie nuty. Wcześniej, w szkole muzycznej w Lublinie, śpiewałem w chórze - prowadzonym przez znakomitą nauczycielkę, panią Gruszkę. Można powiedzieć, że to ona zaraziła mnie radością śpiewania. Uczyła nas, dajmy na to, pieśni ludowych, a zaraz potem, w ramach ćwiczeń wokalnych, dyrygowała nami, jakbyśmy byli magnetofonami - zwalniała, przyspieszała, cofała. Dla 12-13-latków to była świetna zabawa, a przy okazji rozwijała się wyobraźnia.

Jak doszło do współpracy z Hey i Kasią Nosowską czy z Moniką Brodką?

- Do wszystkich zespołów, w których grałem, byłem zapraszany. Nigdy się nie wpraszałem na siłę - no, może do Pogodno. Jeździłem na ich koncerty jako grupie, z zespołem Casablanka grałem przed nimi supporty. Kasia zaprosiła mnie do współpracy. Gdy Marcin Macuk z jej zespołu, też z Pogodno, nagrywał płytę we Wrocławiu, spał u mnie. Tak się do siebie zbliżyliśmy. Potrzebowali kogoś na klawisze i do chórków - zostałem na parę lat.

Z Muchami poznaliśmy się w studiu we Wrocławiu. Do projektu Brodki zaprosiła mnie menedżerka Moniki, bo szukali kogoś grającego na wibrafonie na jedną trasę, co się później rozwinęło w stałą współpracę.

Za panem pierwsza próba aktorska - premiera filmu Jerzego Zalewskiego „Historia Roja” z

panem w roli głównej już w marcu. Jakie to było doświadczenie?

- Jerzy Zalewski robił dokumenty o Roju. Mniej więcej w tym czasie, gdy występowałem w „Idolu”, myślał o tym, by nakręcić o nim także fabułę. Uznał, że to znak od Boga - że w takim komercyjnym programie znalazł się młody buńczuczny chłopak, mający w sobie pychę i arogancję, długie włosy, a do tego nazwisko takie jak on (panowie nie są spokrewnieni - przyp. red.). Uznał, że pasowałbym do roli tego młodego człowieka walczącego z systemem. Któregoś razu dostałem telefon od Jerzego, czy nie chciałbym zagrać głównej roli w filmie wojennym, w którym mógłbym pobiegać i postrzelać. Jaki dwudziestolatek by odmówił sobie takiej przyjemności? Oczywiście na planie okazało się, że to cięższa praca niż się wydaje. Na przykład trzeba wstawać o czwartej rano i czekać do osiemnastej, aż będzie dobre światło. Trzeba też uważać z ładunkami wybuchowymi - po tym, jak obok mojej głowy wybuchł granat, do dziś gorzej słyszę na jedno ucho. Film to była fajna przygoda. Zanim przystąpiliśmy do zdjęć, trzeba było z młodych chłopaków zrobić twardzieli, wysyłano nas więc na obozy - kapral z Afganistanu uczył nas, jak się zdobywa budynki, rzuca granatem. Próbowano mnie też uczyć jeździć konno - bez powodzenia. Gdy miałem jechać motocyklem z koszem, rozbiłem i motocykl, i budynek. Jakoś jednak przeżyłem cały ten film. Wcześniej, poza kółkami teatralnymi i, w dzieciństwie, rolą Małego Księcia w Teatrze Telewizji nie miałem nic wspólnego z aktorstwem. De Niro na pewno nie jestem, ale momentami można mi uwierzyć.

Czy, przygotowując się do roli, korzystał pan z porad ojca, Stanisława Brejdyganta i brata Igora? Jak to było - wychowywać się w artystycznej rodzinie?

- Kocham mojego ojca, ale on mnie nie wychowywał. A brat jest głównie scenarzystą. Tata nawet zagrał w tym filmie, tyle że nakręciliśmy jakieś sześć godzin materiału, a film musiał się zmieścić w dwóch, więc scena z tatą wypadła. Ale chyba wejdzie do kilkuodcinkowego serialu dla Telewizji Polskiej. To by było dla mnie miłe, mieć z tatą taką celuloidową pocztówkę.

Czy na łódzkim koncercie usłyszymy najnowsze utwory?

- Oczywiście. Postanowiłem, że nie będę powtarzał z zespołem tych samych koncertów w tych samych miejscach, więc czekamy aż skończymy płytę i rozpoczniemy nową trasę. Póki to nie nastąpi, występuję solo. To dość oryginalne przedsięwzięcie, bo na wszystkim gram sam: na klawiszach, gitarach, bębnach - i śpiewam. Jest to dosyć cyrkowe. Gram również cztery numery z nowej płyty, improwizując. Gdy pojedę w trasę z zespołem, będziecie mogli usłyszeć te utwory na pełen skład. Teraz jest niepowtarzalna okazja, by zobaczyć, jak sobie radzę z nimi sam.

O **Krzysztofie Zalewskim** zwanym Zalefem (właściwie Krzysztofie Zalewskim-Brejdygancie, rocznik 1984) usłyszeliśmy, gdy wziął udział w drugiej edycji telewizyjnego talent show „Idol” - i w 2003 roku ją wygrał, po czym w 2004 roku w ramach nagrody nagrał debiutancką płytę pt. „Pistolet”.

Wcześniej grał na gitarze w lubelskim zespole Loch Ness, a także tworzył w ramach grupy Zalef, który składał się z członków Loch Ness i z którym nagrał pierwszą płytę. Grał w zespołach Japoto i Muchy. Współpracował z Katarzyną Nosowską (m.in. napisała teksty do kilku piosenek na pierwszą płytę Zalefa), Moniką Brodką oraz zespołami Hey i Nie-bo, skomponował wraz z Budyniem piosenki do filmu „Jeź Jerzy”. Druga płyta pt. „Zelig” ukazała się w 2013 roku.

W 2009 roku został aktorem - zagrał główną rolę Mieczysława „Roja” Dziemieszkiwicza (dwudziestoletni działacz polskiego podziemia antykomunistycznego, żołnierz Narodowego Zjednoczenia Wojskowego i Narodowych Sił Zbrojnych, dowódca oddziału partyzanckiego) w filmie Jerzego Zalewskiego pt. „Historia Roja”. Premiera - 4 marca 2016 roku.

Krzysztof Zalewski jest synem aktora, reżysera i dramaturga Stanisława Brejdyganta, przez pewien czas związanego z łódzkim Teatrem Nowym - który ukończył m.in. Wydział Reżyserii Szkoły Filmowej w Łodzi. Starszy brat Krzysztofa Igor także ukończył Szkołę Filmową w Łodzi (Wydział Produkcji Filmowej i Telewizyjnej), jest asystentem reżysera, scenarzystą - współpracował przy

takich filmach, jak „Pułkownik Kwiatkowski” (reż. Kazimierz Kutz), „Doktor Semmelweis” (reż. Roger Andrieux), „Vinci” (reż. Juliusz Machulski) oraz „Palimpsest” (reż. Konrad Niewolski); pracował też przy serialu „Paradoks”.